№ 42. Warszawa, dnia 8 (20) Października 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z dziedziny ciekawości ludzkiej.

I.

Trochę filozofii, trochę nauki.

Któż nie jest ciekawym? Przymiot ten czy wada jest wspólną własnością wszystkich żyjących istot, począwszy od robaczka mikroskopowego a skończywszy na człowieku.

Ot istotka żyjąca a malutka jak proszek z pierwszym podmuchem wiatru unoszący się w powietrzu, sunie się drożyną, wtem nagle spada przed nią grudka ziemi wielkości orzecha. Biedne stworzonko w tej chwili przystaje, zaczyna przyglądać się, badać, jakby pytało: co to takiego?

Tak samo zachowuje się i człowiek w obec wszystkiego nieznanego sobie, a rozbudzona w nim ciekawość jest miarą usposobienia jego wewnętrznego.

Ona to świat materyi poddała jego władzy, siły natury jeszcze nawet dobrze nieznane, wprzęgła do pracy na jego korzyść a żyjące istoty na całej kuli ziemskiej zrobiła mu uległemi.

Wielkie to zwycięztwo nad naturą, wzmacniane ciągle nowemi zdobyczami ciekawości, niczem niedającej się zaspokoić, jeżeli wyniosła człowieka na wielkie stanowisko jakie dziś zajmuje, poniżyła go zarazem wytworzeniem pychy rozumu, w obłąkaniu swem oddającemu część materyi z pomiataniem ducha nad wszystkiem panującego.

Wytwarzające się ztąd pojęcia, to straszna choroba tocząca cały organizm społeczny. Narobiła ona niemało szkody ludzkości i broi ciągle rozszerzając okręg swojej zdobyczy.

Owocem jej przeważna działalność kodeksu karnego i samolubstwo prywatne i publiczne do zasady wyniesione, jakie obecnie przenika całą ludzkość gwałtem pragnącą nazywać się chrześciańską.

Prostaczkowie nie ulegają jej tyle co nowi przybysze do przybytku wiedzy z hardo podniesioną głową. Prostaczkowie wierzą, pyszałkowie rozumują: pierwsi zaspakajają się pojęciem nieśmiertelnego ducha, z jakiem każdy na świat się rodzi; drudzy liznąwszy cokolwiek nauki stają się bałwochwalcami własnego... nierozumu i przeczą wszystkiemu zmysłom oddając pierwszeństwo.

Niewdając się w zbyt zawiłe wywody, powiemy tylko, że jak nie ma człowieka, któryby nie czuł w sobie nieśmiertelności tego, co go ożywia, tak nie znaleziono dotąd w najdzikszych zaułkach ziemi, ani jednego równie dzikiego ludu, któryby nie miał pojęcia przyszłego bytu duchowego po ukończeniu na ziemi pielgrzymki. Jakimże sposobem ludy te doszły do tych przekonań? Nie księgami w niebie pisanemi; nie nauką apostołów lub proroków jak Mojżesz, cóż więc dało im tak wielką pociechę, jak świadomość ducha ludzkiego i jego nieśmiertelności?

Cóż innego jak nie Opatrzność, opiekująca się wszystkiem, co tylko żyje i rusza się na ziemi, w wodzie i w powietrzu?

Są co przeczą tej troskliwości. Człowiek, powiadają, jest tak nieznaczącym pyłkiem, taką małostką, że prawie niknie wśród wielkości świat nasz otaczających. Czyż więc podobieństwo, aby szczególną otoczony opieką, rozwijał się pod jej okiem, czułą darzony troskliwością? Wreszcie i ta miłość, powiadają, dziwnej bardzo natury. Gdzie ją widzicie i gdzie działalność jej spostrzegacie?

Czyż cały żywy świat począwszy od trawki aż do człowieka, nie toczy bez przerwy śmiertelnej z sobą walki, o miejsce i pokarm? Czyż słabego silny nie pokonywa i nie gnębi aż do zagłady?

Patrz! mówią, o to człowiek, ślepy, niemy, ostateczny kaleka, niezdolny do jakiegobądź zajęcia, urodził się takim i takim umrze, dlaczegóż go tak wielkie nieszczęście dotknęło? Czyż on prosił o życie, w warunkach tak ciężkich dla siebie?

Patrz! mówią dalej: ten nieszczęśliwy kaleka pragnie śmierci, aby raz przestał cierpieć i przestać być zawalidrogą na świecie. Życie już mu się tak przykrzy, że nietylko narzeka ale bluźni... jednak żyje a tuż niedaleko od niego umiera młoda matka lub ojciec, tak potrzebni do wychowania sierot, jakie pozostawiają, a tam gaśnie dziewica lub młodzieniec, jedyna nadzieja rodziny. Wkoło nich unosi się płacz, boleść straszliwa, rozpacz, mimo

tego ci umierają a kaleka żyje i życie swe do późnych lat przedłuża.

Gdzież tu więc miłość a nawet gdzie prosta sprawiedliwość, której się w życiu powszedniem tak usilnie domagamy?

Wszystko to prawda, tak się dzieje. Świat to wielka rzezalnia, w której co tylko żyje gryzie się, morduje, człowiek jest w niej katem zabijającym zarówno ludzi jak zwierzęta nietylko bez wstrętu ale nawet z pewnem upodobaniem według reguł strategii i przepisów myśliwskiej rozrywki.

Wszystko to prawda, tak się na świecie dzieje a dlaczego tak a nie inaczej, któż odgadnie? Człowiek pytań bez odpowiedzi nie lubi zostawiać i dumnie wsparty na zdobytej już wiedzy, nieraz najfałszywsze tworzy wnioski i zaprzecza nawet mądrości, którą wszędzie podziwia, zwąc ją przypadkiem. Następstwo to proste zbytniego przeceniania potęgi własnego uzdolnienia. Człowiek w dziedzinie swego żywota jest pyłkiem a ziemia prawie niczem w obec wszechświata.

Czemże więc jest rozum ludzki w porównaniu mądrości rozlanej w widomej przez nas naturze? Także niczem, iskierką malutką, zaledwie dojrzaną i tyleż wydająca światła co iskra ze stali wykrzesana krzemieniem.

Cóż przy jej pomocy zobaczyć można i trafnie osądzić? Czyż niewłaściwie, jak w zrobionem pytaniu, powiedzieć: prawda, że na świecie rzeź się ciągle toczy, mocniejszy zjada słabszego, a ludzi spotykają nieszczęścia, pod ciosem których zgnębieni upadają bez ratunku. Prawda, że cierpię często, że nie znam tego przyczyny, ale mimo to wierzę, że wśród tej niepojętej mądrości, widniejącej wszędzie w całem otoczeniu, nie może nic dziać się niezgodnie z jej potęgą i być oderwanym czynem, poprostu dziwactwem i niemądrością?

Przypatrzmy się tylko bliżej otaczającej nas naturze, spojrzyjmy na ziemię, na życie na niej rozwinięte, na cuda wyzierające do nas z lada trawki i żyjącego organizmu, czyż wszędzie nie dojrzymy tę mądrość niepojętą, w nas samych, obok nas i nad nami?

W miliardach światów, krążących w obszarach niezmierzonych, łączność, wzajemna zależność, jedność materyi i praw niemi rządzących, czyż nie zdumiewa zarówno uczonego jak prostaczka?

Mniej tylko ufności w siłę swego pojmowania a oczy się nam na prawdę otworzywszy pogodzą z tem, czego zrozumiéć nie możemy i obudzą wiarę, że tak jak jest i jak się dzieje, jest dobrze, bo zgodne z najwyższą Mądrością.

Na ludową nutę.

Za lasami, górami,
Kędyś wiosna zielona,
Jesiennemi wichrami,
Nasza ziemia zwarzona.

Lecz nad niebo przeczyste,
Gdzieś na świata hen końcu,
Milsze nitki srebrzyste,
Co się snują we słońcu.

Milsze kwiaty zwarzone,
Które wkoło wiatr miecie,
Milsze sioło rodzone,
Ponad wszystko na świecie.

J. Kuczyński.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Staliśmy jak wryci i zanim ktokolwiek mógł się zdecydować na udzielenie pomocy, Sokoł niższy wzrostem, szczuplejszy także, a może i mniej silny, jednym śmiałym skokiem, zabiegł koniowi drogę na szosie i pewną ręką uchwyciwszy cugle, osadził na miejscu. Okrzyk podziwu wydali widzowie. Koń wrył się prawie w ziemię kopytami i uhamował natychmiast.

Panowie podeszli do jeźdzca, niemego jeszcze pod wpływem fatalnego wypadku. Sokoł stał spokojny, blady tylko cokolwiek i trzymał za uzdę konia, pieniącego się ciągle.

Grad powinszowań posypał się na niepozorną, a tak odważną postać.

— Anusiu, Anusiu — mówiła mama z zachwytem — jaki on dzielny nieulękniony. Żaden tego nie uczynił.

Spojrzałam nań mimowoli i spostrzegłam, że na mnie jedną patrzył, ale tak poważnie i trochę smutnie, jak w lesie.

— Zasłużył pan na wieniec laurowy — rzekłam doń żartobliwie.

— Nie tego mi do szczęścia potrzeba — odpowiedział ciszej.

— A czegóż?

— Jednego serca. — Tu głos zniżył się do namiętnego szeptu.

— Jednego serca — powtórzyłam machinalnie. — O! tak, to może być zadatkiem najwyższego szczęścia, lub wieczystego smutku.

— Z jakim to pani przejęciem powiedziała! Jakby osoba doświadczona już na tym punkcie.

W odpwiedzi potrząsnęłam głową milcząco. Właścicielem rozhukanego konia był jeden z okolicznych obywateli. Skończyło się na opowiadaniu o niefortunnej przejażdzce i zlęknięciu konia. Sokoł był bohaterem.

Jednego wieczoru, w czasie przejażdzki po jeziorze, ujrzałam zdala nad brzegiem brunatnego Sokoła. Co go tu sprowadziło? Czy ponęta przechadzki?

Rozśmiałam się mimowoli. Czyżby odczuwał piękno natury? On, zdający się być takim zimnym, niewzruszonym? Swawolna myśl zalotności mignęła w głowie. Jak strzała przypłynąwszy do niego, wyskoczyłam na ląd z najprzyjemniejszą minką.

— Może pan chce użyć łódki? Proszę, wolna.

Będę, planowałam sobie w duchu, raz chociaż dla niego taką, jak dla innych. Sprobuję, jak też mi się uda? Czemu właśnie on jeden miałby zostać wyjątkiem od ogółu?

Zapytany patrzył kilkanaście sekund na mnie, dopiero później odpowiedział.

— Znajduję panią w niezwykłem usposobieniu, z czego nie omieszkam wyciągnąć dla siebie pomyślnej wróżby.

— Wierzy pan w wróżby? Znaczy to samo co wierzyć kobietom. Pierwsze i drugie najwięcej zawodów sprawiają. Są to wszelako czarujące zagadki z nich. Czy we mnie np. nie spostrzegł pan podobieństwa do Sfinksa?

— Niech pani pozwoli zapytać, w jakiej postaci w przybliżeniu chociaż moja osoba przedstawia się pani?

— Może ciekawość w tym razie nie opłaciłaby się panu.

— Może pani powie, że nawet nie powinna mieć miejsca.

— Mówi to pan pewnie pod wpływem bojaźni piekła, ze względu na znane przysłowie.

— A! więc dowiedziałem się. Panna Anna ma mnie za tchórza.

— Ależ, co za mniemanie. Co rzekłam, proszę uważać za bezmyślne.

I znów dostało mu się długie spojrzenie zielonawych oczu.

— Przyszedłem tu przysłany przez mamę pani, w celu zakomunikowania jej...

— Czego, czego?

— Pragnąłbym wiedzieć, czy wola pani na pewnym punkcie byłaby zgodną z wolą mamy i mojem najgorętszem życzeniem.

— Co to znaczy? — zapytałam cofając się.

— Wysłuchaj pani cierpliwie. Nie będę mówił długo.

— Mów pan.

— W czasie przejażdzki pani po jeziorze, wypowiedziałem jej mamie wszystko co czuję dla panny Anny. Podobałaś mi się jeszcze od czasu widywania w kościele i sąsiedztwach. Od zwykłej sympatyi doszło do przyjaźni, od tej do... do... Krótko mówiąc kocham panią. Czy będziesz mi wzajemną?

Wyobraziłam sobie, że na to pytanie słyszę jakby złośliwy śmiech w szmerze jeziora, w poruszeniach roślin dokoła kwitnących, w szeptach zefiru igrającego z kępami fiołków. Wyobraziłam sobie, że żółta, migotliwa głowa słońca trzęsie się ze śmiechu, bujając w chmurach.

Anusiu, powinnaś być dobrą dla tego człowieka, zabrzmiały mi w przypomnieniu słowa mojej matki.

— Czy pan koniecznie wymaga wzajemności?

— Ja nie wymagam, lecz prosiłbym o nią, jak o największą łaskę w życiu.

Jakaś miękkość, słodycz czuć się dała w głosie Sokoła. Odwróciłam się na pół dla zebrania rozproszonych myśli. Godziłożby się oddać Sokołowi rękę, nie mogąc mu ofiarować nic więcej nadto? Ale z drugiej strony, czy już nie przeszłam fazy, jaką ludzie zwą miłością? Ha! co to mi po niej zostało! A jednak radabym, aby Witalis dowiedział się o mnie, jako o mężatce, która już dawno zapomniała o biednej niezapominajce w sali balowej...

Niechby pomyślał, że właścicielka jej mogła połączyć swą dolę z drugą dolą i zapomniéć o nim. Zapomniéć! Czyż to podobna? Mamże czekać na ideał, którego już nie znajdę? Cóż mi jeszcze życie przynieść może? Wszakże nietylko Sokoł, lecz i żaden inny mężczyzna nie byłby zdolny obudzić tkliwszego uczucia w mej piersi? O! pora już

porzucić wszelkie mrzonki. Przecież starą panną nie zostanę.

— Czy pan wie, że go nie kocham?

— Wiem, że od przyszłości można spodziewać się wszystkiego.

— Jeżeli więc nie zraża pana posiadanie osoby, która dla niego nie żywi gorętszego uczucia, od której nic więcej nad zwykłą towarzyską sympatyę wymagać nie możesz, w takim razie...

I wyciągnęłam zimną dłoń. On ją pochwycił w swoje ręce i uścisnął mocno.

— Wiem, że wir życia światowego, mógł ostudzić twe serce, pani, rozpalając zarazem głowę. Wiem jednak, że ono istnieje i jeżeli dotąd nie wybrało żadnego z ubiegających się o nie, to widocznie chce tego, czego niedostawało innym. Przeczekałem wszystkich i dziś ożywia mnie wiara w przyszłość. Ona obdarzy tem, czego w obecnej chwili nie otrzymuję. Od tej godziny panna Anna jest moją narzeczoną.

Z podniesioną głową wyprostowana, szłam naprzód przez zielone łąki do domu mej matki. Słońce zupełnie skryło swą tarczę, w powietrzu unosiła się mocna woń kwiatów, ptastwo z głośnym świegotem fruwało nad naszemi głowami, jaskułki błyskając białemi piórkami, zataczały szerokie kręgi nad powierzchnią jeziora, wszystko było dziwnie urocze, a ja powracałam narzeczoną. Przy wejściu do ogrodu spotkaliśmy moją matkę, stojącą z wesołym uśmiechem.

Padłam w jej objęcia.

— Anusiu! jakie masz płonące czoło — zawołała przelękniona. — Czyś ty nie słaba, moje dziecko?

— O! nie mateczko. Czuję się zupełnie zdrową i silną.

— A ja, czuję się szczęśliwym — mówił Sokoł.

— Anusiu jedyna — pytała tego samego wieczoru moja mama, po odejściu przyszłego zięcia.— Wszakże nie jesteś przeciwną zamiarowi Sokołskiego? Posiada wszelkie warunki do uczynienia kobiety szczęśliwą. Ze wszystkich tutejszych, on zasługuje na miano najgodniejszego. Przecież lubisz go z pewnością, szanujesz, jak na to zasługuje. Po ślubie więc znajdziesz uczucie głębsze, bo oparte najpierw na mocnych fundamentach wzajemnego ocenienia się.

— Tak mamusiu, tak. Każda panna wychodzi zamąż chętnie w razie możności. Na podobieństwo tych innych, korzystam z nadarzającej się sposobności i ze spokojnem sumieniem oddaję rękę Sokołowi.

Upewniam czytelników, że czas przedślubny, gdym była narzeczoną, nie przypominał w niczem czułego gruchania. Żadna przelotna pieszczota, żaden serdeczniejszy wylew uczucia nie istniał między nami. Po wielu wielu dniach nadszedł dzień ślubu. Poważna, pewna siebie, przechodziłam raz ostatni w dziewiczym wianku, między lipowemi szpalerami starego ogrodu naszej Wólki. Tam to przechadzała się nieraz baronowa będąc jeszcze młodem, swobodnem dziewczęciem, tam moja matka spędziła najszczęśliwsze godziny za życia swego męża, tam wreszcie stałam teraz, odczytując po raz setny, wonny, kolorowy bilecik żony Witalisa. Oboje życzyli mi szczęścia! Na propozycyę mamy w celu zaproszenia ich na gody weselne, odpowiedziałam przecząco. Nie mogłam, nie powinnam była starać się o widzenie z tym, który w rozkosznym poranku młodości wyrył w mej duszy, niby na marmurowej płycie, niezatartemi głoskami swoje imię.

— Nie, o! nie, mamusiu, ciotka baronowa sama nie przyjedzie, młodym znów nie będzie na rękę opuszczać dom obecnie — kończyłam z rumieńcem, dostrzegając na twarzy matki uśmiech, wyrażający wiele.

— I ty niezadługo poznasz przyczynę tego.

— Ja? Wątpię o posiadaniu w sobie zdolności odczuwania. Nie jestem przytem usposobiona sentymentalnie.

Nadzwyczajną przyjemność sprawiały mi Hortensyi słowa, których wytworna forma przypominała mi ten świat, porzucony przezemnie, tak rażąco niepodobny do wiejskiego. Woń papieru przyniosła mi atmosferę tamtejszych salonów, lekką i miłą. Obrazy przeszłości stanęły żywo w pamięci. Innym tak dobrze było w tamtym świecie, a ja przecież musiałam wyjść po za jego wrota.

„Bądź tak szczęśliwą, kuzynko — pisała baronówna — jak jestem nią w tej chwili. Życie wspólne z człowiekiem wybranym, otwiera nam nowe bramy w świecie, stanowi drogę usłaną różami, których kolce nawet nie sprawią wielkiej boleści, będąc podzielonemi dla dwojga.

Dalej następowały wzmianki o znajomych, o pewnych odmianach o drobnych pozornie faktach, nie pozbawionych jednak wagi dla młodych kobiet. W końcu listu mieściło się:

— Witalis zmężniał więcej jeszcze, co podniosło jego urodę, jeśli w ogólności może ją co podnieść.

W kilka minut po odczytaniu tego liściku, szłam w białej, gazowej sukni, w licznem kole znajomych, szłam dla złożenia brunatnemu Sokołowi, przysięgi długiej jak życie, wiernej jak śmierć. Nie zadrżałam przy upinaniu welona, ani jedną łzą nie zaszło mi oko a stan mój pozornie nad wyraz spokojny, pochodził z nieobecności Witalisa. Czułam, że ujrzéć go raz jeden choćby, na jedno mgnienie oka, usłyszéć głos jego, znaczyłoby odjąć matce całą radość, pochodzącą z blizkiego już połączenia się podług jej życzeń, zniweczyć nadzieje Sokołskiego, skazać siebie samą na nowe męczarnie, zawieść oczekiwania wszystkich. O! nie, do tego nie byłabym już zdolną z braku sił. Niewymowne zmęczenie krępowało mnie całą.

Dzień ślubu, dzień najważniejszy w życiu każdej kobiety, nie wstrząsnął mną do głębi. Nie kochałam, więc chwila ta nie wzbudzała we mnie rozkosznych przeczuć, radosnych marzeń, będących udziałem innych narzeczonych. W wonny, słoneczny poranek byłam złączoną na dolę i niedolę z człowiekiem, dla którego nie posiadałam nic literalnie nic. Zdaje mi się, że z jakąś uroczystą powagą szumiały buki szpalerów nad wracającą z kościoła, że rozkwiecone lipy straciły nagle upajającą woń, narcyzy pochylały smętnie śnieżno białe swe główki. Motyle kryły się przedemną, dokoła zapanowała cisza taka głucha, jak w przepaści bezdennej, cisza, przerywana tylko szeptem liści. Zdawało mi się, jakoby krasne róże ukazywały mnie szyderczo, lilie rzucały z siebie płaszcz niewinności jakby dla powiedzenia:

— Patrzcie, oto idzie niegdyś nasza siostra, a dziś... O! wszakże ja byłam czystą i niewinną tylko ciężko zrozpaczoną...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zmienność doli ludzkiej.

Któż nie zna tej tyranki zwanej zmiennością doli ludzkiej, która czasami igrając z wybraną przez siebie ofiarą, jak kot z myszą, lub spadając nagle jak grom z powietrznych obszarów, spycha ludzi ze szczytu największego powodzenia w przepaść nędzy bez powstania.

Przykładów na to mnóstwo wszędzie i zawsze spotkać można, a wiele z nich nawet historya dostarcza.

Do takich tak zgnębionych bezlitośnie, należał marszałek Francyi, Babtysta Bazaine, zmarły dnia 23 Września b. r. w Madrycie.

Rozpocząwszy służbę w armii francuzkiej od prostego żołnierza, własną zasługą, zdolnością i męztwem, doszedł do stopnia generała i stał się niejako ulubieńcem zmarłego cesarza Napoleona III-go. Właściwa jednak karyera Bazainea rozpoczęła się wyprawą meksykańską, w której mianowany został dowódzcą wszystkich wojsk francuzkich w Meksyku z tytułem marszałka.

Co nastąpiło w ostatnich dniach panowania cesarza Maksymiliana, gdy dziedzic najstarszego z rodu Europy legł smutną śmiercią pod kulą swych własnych niby poddanych, pozostaje dotąd tajemnicą. Nim rzecz ta wyjaśnioną zostanie, obecnie wystarcza, iż w sprawie tej opinia publiczna zarówno Francyi jak i Europy, uczyniła marszałka odpowiedzialnym za śmierć cesarza Maksymiliana.

Zarzucano mu bowiem, że niepotrzebnem okrucieństwem odstręczył umysły Meksykanów od rządu cesarskiego a potem opuścił Meksyk, gdy położenie rzeczy stało się bardzo drażliwem.

Zarzut to zdaje się być niesprawiedliwym. Dowodzący tak ważną wyprawą i to w Ameryce, tak ważnej rzeczy jak powrót z niej do Europy, bez rozkazów rządu spełniéby się nie odważył.

Opuścił więc Meksyk, bo musiał, bo z pewnością otrzymał takie rozkazy od Napoleona, lekającego zaplątać się w wojnę jakiej nie mógł pragnąć.

Z taką przeszłością objął Bazaine z wybuchem wojny francuzkiej dowództwo owej słynnej armii Renu, którą żelazny pierścień bagnetów otoczył i zamknął w Metz, zkąd wydostała się dopiero po podpisaniu kapitulacyi. Gdy nareszcie Francya ujrzała się panią w swym domu, rozpoczęło się działanie sławnego sądu wojennego, przed który stanął Bazaine, jako sprawca całego nieszczęścia. Do dziś dnia wiemy bardzo mało o przebiegu tego procesu, który starego żołnierza odsądził od czci i wiary i oddał na pastwę tłumom, potrzebującym zawsze mieć swego kozła ofiarnego. Jak wiadomo, najkompetentniejszy sędzia Bazainea, jego przeciwnik z pod Metz, książę Fryderyk Karol, wystosował z wiedzą i upoważnieniem Wilhelma I list do prezydującego owemu sądowi, księcia Aumale, zapewniając na honor, że postępowanie Bazainea pod Metzem było zupełnie lojalnem i strategicznie poprawnem i że tylko wskutku genialnej taktyki Moltkego doprowadziło do katastrofy.

Ale list ten nietylko nie miał pomyślnych dla obwinionego następstw, lecz wywarł nawet wprost przeciwne wrażenie; z chwilą bowiem, gdy wieść o tym liście Fryderyka Karola dostała się do wiadomości ogółu, rozdrażnienie ulicy dosięgło takie-

go stopnia, że i członkowie sądu nie mieli odwagi oprzéć się krzykom t. zw. opinii publicznej i ze smutnym brakiem niezależności i poczucia koleżeńskiego wydali wyrok, skazujący Bazainea na śmierć. Wyrok sądu, którego członkami byli pierwsi wojskowi Francyi, niestanowi pięknej karty w historyi armii francuzkiej. Zarzut zdrady, czyniony mu przez szowinistów, nie został dowiedziony; jedyną jego winą było, że miał za przeciwnika człowieka, miary Moltkego, ale czyż choćby jeden z jego sędziów odniósł drobny listek wawrzynu z tej wojny, w której Francya okazała się tak małą?

Wyrok ten tak srogi a tak niesprawiedliwy, przez ówczesnego prezydenta Francyi Mak-Mahona, złagodzony został na dożywotnie więzienie.

Stary żołnierz nie mógł starego swego towarzysza oddać na pastwę potępienia za winy wielu. Morderstwa zatem nie dopuścił a nawet jak się domyślać należy, może rzucił myśl ucieczki i ułatwił jej wykonanie.

Mimo tego Bazaine osadzony został w więzieniu na wyspie św. Małgorzaty, w którem używał znacznej stosunkowo wolności i codziennie przyjmował odwiedziny żony i dzieci. W czasie jednych odwiedzin takich, energiczna i stanowcza marszałkowa oświadczyła mężowi, że nie ujrzy już więcej ani jej, ani dzieci, jeżeli nie zdecyduje się na ucieczkę, której plan gotowy mu przedstawiła. Wobec niebezpieczeństwa, na jakie ucieczka narażała i wątpliwego jej rezultatu, Bazaine wahał się, kiedy jednak przekonał się, że żona zdecydowaną jest groźbę wykonać, zgodził się na wszystko. Cały plan ucieczki polegał przedewszystkiem na wydostaniu się z murów fortecznych. Energiczna kobieta obmyśliła wszystko. Dzieci jej, odwiedzając ojca, przynosiły codziennie nowe zabawki ze sznurkami. Te ostatnie przeznaczone były do sporządzenia drabinki sznurowej. Praca ta postępowała bardzo zwolna naprzód, po dość długim jednak przeciągu czasu, drabinka była gotową i oddaną do schowania żołnierzowi przekupionemu przez marszałkową. Naznaczono wreszcie termin ucieczki. Wybrano ku temu niedzielę, w tym dniu bowiem straże forteczne bywały mniej czynne.

Marszałek miał zwyczaj przechadzać się codziennie o godzinie 8 wieczorem po wielkim dziedzińcu fortecznym, po największej części w towarzystwie dyrektora więzienia, człowieka nader miłego.

W ową niedzielę Bazaine, jak zwykle, przechadzał się z dyrektorem, udał jednak, że jest cierpiący i z tego powodu wrócił do swej celi o godzinę wcześniej niż zwykle. Dyrektor odprowadził go aż do drzwi celi, a ponieważ dozorca nieprzygotowany na szybszy powrót swego więźnia z przechadzki, nie był na miejscu, dyrektor przymknąwszy drzwi celi, poszedł go szukać, ale też zaraz za nim wyszedł także i Bazaine i zamknąwszy drzwi, ukrył się w dziedzińcu.

Tymczasem odszukany dozorca, nie zaglądając do celi marszałka, drzwi zamknął na klucz. O godzinie 11 w nocy Bazaine opuścił swą kryjówkę, odszukał drabinę sznurową, przywiązał ją do muru, rzucił ją po za obręb fortecy i spuścił się po niej na dół. O świcie dozorca drabinkę odwiązał od muru i zrzucił na dół. W ten to sposób o zniknięciu więźnia nikt nie wiedział i Bazaine miał dosyć czasu do dalszej ucieczki.

O godzinie 8 i pół dyrektor więzienia zdziwiony tem, że nie spostrzegł na dziedzińcu marszałka, który zwykle wstawał bardzo wcześnie, zaniepokoił się o stan zdrowia towarzysza przechadzek wieczornych. Służący marszałka zapytany w tym względzie, odpowiedział, że Bazaine zapewne śpi jeszcze.

Dyrektor zaczekał chwilę; skoro jednak we wnętrzu celi nie dał się słyszéć nawet najmniejszy szelest, w obawie, czy przypadkiem marszałek nie zachorował niebezpiecznie, kazał otworzyć drzwi; skoro jednak spojrzał do wnętrza celi, przystanął, cofnął się o krok w tył, przetarł oczy raz i drugi, spojrzał znów po celi i zdumiał. Marszałka już nie było.

Rozpoczęto zaraz poszukiwania po całej fortecy i w okolicy, przyobiecano sowitą nagrodę za odszukanie zbiega, ale napróżno. Bazaine był już daleko od wyspy.

W jakiż sposób udało się pani Bazaine uwieźć z wyspy swego męża? Powiedzieliśmy, że była to kobieta energiczna i stanowcza; powziąwszy więc raz plan ucieczki męża, nie spoczęła dotąd, póki go nie wykonała. Ponieważ jednak sama nie dałaby sobie z tem rady, wyszukała prędko człowieka usłużnego a sprytnego, który jej we wszystkiem dopomógł. W jego to towarzystwie, pod przybranem nazwiskiem, udała się do Genui, gdzie wynajęła mały parowiec włoski, za dziennem wynagrodzeniem w sumie 1,000 franków. Marszałkowa miała na statku tym odbyć wycieczkę morską do Neapolu.

Podróż miała trwać cały tydzień, ułożono się jednak z góry, że pani Bazaine może odbywać wycieczkę swoją nawet i dłużej, płacąc za każdy następny dzień sumę umówioną.

Zaledwie jednak parowiec wypłynął na pełne morze, marszałkowa zmieniła nagle plan podróży i poleciła kapitanowi, by skierował do Cannes, zkąd chciała zabrać w dalszą podróż swą kuzynkę. W oznaczoną niedzielę parowiec zarzucił kotwicę w zatoce Juan. Pani Bazaine kazała wysadzić się na ląd. Łódź, kierowana przez wspomnianego towarzysza, czekała na nią przy promenadzie Croisette. Na niej to marszałkowa przepłynęła cieśninę, dzielącą wyspę św. Małgorzaty od lądu stałego.

Bazaine czekał już w oznaczonem miejscu w podartych sukniach i z pokrwawionemi rękami. Ponieważ stan morza był wysoki, Bazaine chcąc dostać się do łodzi, musiał brodzić w wodzie. Ostatecznie jednak przybył z żoną do Cannes, zkąd na drugiej łodzi dostał się na wynajęty statek. Marszałkowa opowiedziała kapitanowi, że kuzynka jej zachorowała i na wycieczkę udać się nie może, towarzyszyć jej za to będzie służący.

— Niezręczny poślizgnął się na skałach i pokaleczył sobie ręce. Odeszlij go pan do kajuty majtków i każ łaskawie opatrzyć mu rany — powiedziała pani Bazaine do kapitana, który natychmiast polecenie wykonał.

Marszałek spał w kajucie marynarzy. Nazajutrz kapryśna dama zmieniła znów plan podróży i wrzekomo dla choroby, kazała coprędzej wracać do Genui. Kiedy przybyli do tego miasta, wszyscy wiedzieli już o ucieczce byłego komendanta Metzu; niedługo też Bazaine został poznany w hotelu, w którym mieszkał. Kiedy tłumy uliczników dowiedziały się o tem, obległy ów hotel i zachowywały się tak niespokojnie, że gospodarz musiał gości swoich wyprowadzić skrycie tylnemi drzwiami. Bazaine mieszkał czas jakiś we Włoszech, następnie w Belgii, a w końcu w Hiszpanii, gdzie popadł w nędzę.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Ludwika towarzyszyła Helenie do domu i pozostała u niej aż do godziny w pół do szóstej. O siódmej Ludwik podług zwyczaju wrócił na obiad i nie wchodząc do swego pokoju udał się wprost do salonu. Uścisnąwszy babkę i żonę, odezwał się z uśmiechem:

— No, cóżeście dzisiaj porabiały moje panie?

— Ja — zaczęła sędziwa pani Hérault — byłam w Bon Marché kupić wełny na kaftaniki dla biednych, potem przeszłam się trochę po Polach Elizejskich i otóż jestem.

— A ty? — rzekła Helena zwracając się do męża — jakżeś ty dzień przepędził?

— Najpierw pożyczyłem dziesięć tysięcy franków, które uważam za przepadłe... ale nie mogłem w żaden sposób odmówić człowiekowi, z którym żyłem dość serdecznie w owym czasie, gdym wiódł trochę hulaszczy żywot... Pisał do mnie dwa razy w tym interesie i naglił mnie okropnie... musiałem wreszcie zanieść mu żądaną sumę...

— Gdzież mieszka ten przyjaciel? — spytała z pozorną obojętnością Helena.

— Na ulicy de Moscou — odpowiedział również obojętnie Ludwik... — Ztamtąd udałem się do Saint-Dénis...

— Powozem?

— Nie. Wziąłem z ulicy Amsterdam dorożkę, która mnie zawiozła na dworzec kolei północnej... I otóż jestem, jak mówi babcia.

Dokładność w odpowiedziach męża zdziwiła niewymownie Helenę i obudziła w jej umyśle nowe podejrzenia. Przeczuła w tem wszystkiem zręcznie usnutą intrygę, która osłaniała występek. Była prawie pewna, że ją oszukano i że Emilia nauczyła Ludwika w jaki sposób ma się tłomaczyć. Przekonanie to nie zbudziło jednak gniewu w jej szlachetnem sercu, zrozumiała pobudki jakiemi kierowała się jej przyjaciółka i przebaczyła jej w zupełności. Niemniej powiedziała sobie w duchu, że odtąd baczniejszą będzie, aby przecie dowiedzieć się czegoś pewnego.

Ludwik w istocie posłuchał rad panny Lereboulley i jak zadanej lekcyi nauczył się odpowiedzi na możliwe zapytania żony. Wyszedłszy z domu przy ulicy de Moscou, poszedł prosto do Emilii i w trwodze i niepokoju czekał na nią przeszło dwie godziny, które mu się wiekiem wydały.

Chciał coprędzej dowiedzieć się, zkąd Helena wpadła na trop prawdy i zły był, że sprawki jego na jaw wyszły tak niespodzianie. Przytem obawiał się trochę nagany ze strony Emilii. Nareszcie panna Lereboulley jak huragan wpadła do salonu i nie podając ręki Ludwikowi, nie zatrzymując się ani chwili, rzekła doń w przejściu:

— Chodź do mojej pracowni, tam porozmawiamy swobodnie.

Ludwik poszedł za nią w milczeniu, Emilia raczej wbiegła niż weszła do obszernej komnaty; zdjęła kapelusz, cisnęła na sofkę okrycie i wreszcie stając przed przyjacielem odezwała się bez żadnego wstępu:

— Ślicznie postępujesz nie ma co mówić...

— Słuchaj Emilio — przerwał jej Ludwik z żywością — możesz mnie łajać jak ci się podoba, ale najpierw powiedz mi co się stało?

— O! jak trudno domyśléć się tego! — drwiąco odpowiedziała Emilia.—Porzucasz byle gdzie miłosne bileciki... Żona znalazła taki liścik, przeczytała go i żeby nie ja, spotkałaby cię na schadzce z Dianną.

— Jakże ci jestem wdzięczny!

— Nie ma za co!... Nie uczyniłam tego dla ciebie lecz jedynie ze względu na twoją żonę!... Doprawdy, nudzisz mnie okropnie, nigdy nie myślałam, abyś był do tego stopnia głupi! Masz żonę zachwycającą, która cię uwielbia i rozkoszne dziecię; szczerze mówiąc nie zasługujesz nawet na podobne szczęście. I wszystko chcesz poświęcić dlatego, aby latać za jakąś hultajką, która się z ciebie wyśmiewa!

— Emilio! — zawołał Ludwik z gniewem.

— Jakto! czyżbyś miał jakie złudzenie co do jej moralności?

— Nie mów mi o niej. O mnie możesz mówić co chcesz... nigdy chyba dość mi nie nagadasz. Ale szanuj kobietę, którą kocham.

— Żądanie zbyt trudne do spełnienia, gdyż ona nie zasługuje na szacunek!...

Ludwik z gniewem porwał kapelusz i skierował się ku drzwiom. Emilia schwyciła go za ramię.

— Zostańżeż głupcze! — zawołała z uniesieniem — nie będę ci już mówić o pani Olifaunt ponieważ jesteś tak drażliwy, skoro o nią chodzi. Ale nie skończyłam jeszcze rozprawy z tobą... Otóż wmówiłam w twoją żonę, że ciebie nikt nie zna w tym domu, gdzie masz mieszkanie przeznaczone na potajemne schadzki. Jeśli cię żona zapyta, wytłomacz się zręcznem kłamstwem, aby o ile możności usprawiedliwić dzisiejszą twoją wizytę... Przynajmniej raz w życiu kłamstwo twoje na coś przydać się może.

— Emilio! — powtórzył stłumionym głosem Ludwik, a wyraz znudzenia odbił się na jego twarzy.

— Uprzedzam cię jednak, że Helena nie przyjęła z uległością przypuszczenia, że ją zwodzisz i jeżeli chcesz dalej tak szaléć, musisz się bardzo miéć na baczności. Helena bronić będzie mężnie praw swoich, na to musisz się przygotować!... W chwili gniewnego uniesienia, żona twoja daleko zajść może... a że jest bardzo ładna... Cóżbyś powiedział, gdyby ci się odpłaciła pięknem za nadobne?

— To niepodobieństwo! Helena nie popełniłaby nic takiego, ona jest szlachetną i uczciwą kobietą.

— I dlatego też jesteś taki spokojny! — zawołała Emilia z gorzką ironią. — Ty i wszyscy tobie podobni, jesteście prawdziwymi niegodziwcami, wtedy tylko szanowalibyście swoje żony, gdyby one nie tak wiernie wypełniały swoje obowiązki. „Ona jest uczciwą kobietą" powtarzacie, można więc dręczyć ją bezkarnie, ona będzie cierpiéć, płakać ale się nie zemści, gdyż jest uczciwą kobietą! I pan małżonek ufając w prawość żony, nie krępuje się bynajmniej i wesoło używa świata, a tymczasem biedna zaniedbana żona karmi syna, pielęgnuje go, czuwa nad jego kołyską. Wprawdzie wiadomość o nieszczęściu może nią wstrząsnąć do głębi, zatruć jej pokarm i zabić jednocześnie ją i dziecię, ale cóż to szkodzi! Trzeba przecież żeby pan się bawił! Ah, Ludwiku! to podłość postępować w ten sposób!

— Przesadzasz, przesadzasz Emilio — odparł z wymuszonym uśmiechem Ludwik — wpadasz nawet w nastrój melodramatyczny. Ja nie usiłuję się tłomaczyć, ale gdyby moja żona była trochę więcej moją żoną a trochę mniej matką swego syna, wszystko to nie miałoby może miejsca.

— Dość tego! — zawołała Emilia blada z gniewu i oburzenia, słowa te doskonale malują twój charakter. Cnotę Heleny poczytujesz jej za występek, robisz jej zarzut z tego co powinno w twoich oczach czynić ją jeszcze bardziej godną poszanowania. Nie mów już do mnie ani słowa. Idź sobie. Miałam dla ciebie szczere uczucie przyjaźni, lecz przyjaźń ta wygasła już zupełnie. Zanim jednak odejdziesz posłuchaj ostatniej mojej rady: jeśli nie troszczysz się o żonę, nie dbasz o sir James Olifaunt i w tym razie muszę przyznać, że masz słuszność, pamiętaj nie lekceważ pana Lereboulley... On niezmiernie jest przywiązany do swej Dianny... jeżeli dla mnie jej nie poświęcił to możesz być pewnym, że nie pozwoli jej sobie odebrać bez walki... Strzeż się więc!

A widząc, że Ludwik pogardliwie wzruszył ramionami, dodała:

— O! nie tłomacz sobie opacznie słów moich. Ojciec nie pokłóci się z tobą, ani też nie wyzwie cię na pojedynek, ma on lepszą broń, której użyje, aby ciebie pognębić; bronią to są obroty finansowe. Strzeż się, aby nie popchnął cię do ruiny; rozumiesz mnie chyba, korzystaj więc z przestrogi a teraz możesz sobie już odejść.

I odwróciła się od niego. Ludwik bardziej zmieszany niżby chciał to pokazać po sobie, przysunął się do niej i rzekł wyciągając rękę:

— Dziękuję ci raz jeszcze za to co uczyniłaś dla mnie i dla Heleny... Ale nie rozstawaj się ze mną w ten sposób! Ja od tak dawna mam dla ciebie szczere, braterskie przywiązanie!... Po babce, żonie i dziecięciu, ty jesteś jedyną osobą, którą kocham prawdziwie. Wyłajałaś mnie okrutnie, ja jednak nie mam o to żalu do ciebie, zawiniłem, wiem o tem, lecz cóż ci z tego przyjdzie, że mnie potępiasz bez litości?... Żałuj mnie raczej, może to będzie skuteczniejszem niż nagana lekarstwem.

Emilia podniosła wzrok na niego; w oczach Ludwika świeciły łzy.

— Jakimże do licha narkotykiem odurza was ta istota, że tak wszyscy przed nią na łapkach służycie? — zawołała tupiąc z gniewem nogą o podłogę. Doprawdy trudno zrozumiéć co was skłania do tego szaleństwa! A ty jak prawdziwe dziecko nawet się bronić nie umiesz! Starajże się przynajmniej być choć trochę rozsądniejszym!

— Przyrzekam ci to, Emilio.

— Nie wierzę w te fałszywe przysięgi — odparła ze smutnym uśmiechem. — A teraz idź już do domu, gdybyś się dziś spóźnił, Helena byłaby po nad wszelki wyraz niespokojna.

Ludwik siłą prawie przyciągnął ją w objęcia i uściskał serdecznie a smutek jego rozwiał się nagle jak mgła w obec promieni słońca.

— Dobra z ciebie dziewczyna! — zawołał.

— A z ciebie znakomity hultaj!

— Bądź zdrowa! — dodał Ludwik i wybiegł szybko z pracowni.

Po jego odejściu Emilia siedziała długi czas w głębokiej pogrążona zadumie. Przestroga jakiej udzieliła Ludwikowi, nie była bynajmniej na wiatr wyrzuconem słowem. Wiedziała ona dobrze, że skoro jej ojciec dowie się, że go oszukują, gniew jego będzie straszny. Wspólność interesów łącząca go z Ludwikiem, nastręczała mu sposobność zrujnowania go do szczętu. Senator rozporządzający olbrzymiemi kapitałami, mógł każdą spekulacyę poprzéć lub wpłynąć na to, aby upadła. Rozgniewawszy się na swego rywala, powziąłby z pewnością zamiar pozbawienia go majątku, gdyż byłby to najłatwiejszy sposób odebrania mu Dianny. Emilia wiedziała doskonale o nieuleczalnej namiętności Lereboulleya, dla którego obecność pani Olifaunt stała się rzeczą niezbędną.

Młoda dziewczyna oprócz tego przewidywała jeszcze inne niebezpieczeństwo, a było niem miłość Klemensa. Widząc żonę zaniedbaną i opuszczoną, Thauziat mógł skorzystać z domowej rozterki i pozyskać miłość Heleny. Trzeba chyba było nadludzkiej wspaniałomyślności, aby się wyrzec nadziei w tak przyjaznych okolicznościach. Wprawdzie Helena była uczciwą i umiejącą cenić swą godność kobiecą, lecz Thauziat był tak powabny. Tak więc przez winę Ludwika szczęście obojga było zagrożone. Emilia postanowiła w duchu czynić co tylko będzie w jej możności, aby dopomódz swoim przyjaciołom do uniknięcia klęski i szczęśliwego przebycia skał tamujących spokojny dotychczas bieg ich życia.

Gdyby młoda pani Hérault i dalej siedziała w domu tak jak z początkiem zimy, niebezpieczeństwo stałoby się mniej groźnem. Lecz młoda kobieta zmieniła nagle taktykę postępowania i oznajmiła mężowi, że odtąd zacznie już z nim razem bywać w świecie. Tak więc prędzej czy później znaleźć się musi w obecności pani Olifaunt, a wtedy walka stanie się nieuniknioną między temi dwoma kobietami. Niepodobna, aby osoby interesowane a przedewszystkiem Lereboulley nie zwróciły uwagi na przycinki jakich obie strony nie szczędziłyby sobie z pewnością. Chyba głuchy, albo pozbawiony wzroku nie dostrzegłby toczącej się w takim razie szermierki.

Postanowienie żony nie ucieszyło bynajmniej Ludwika. Swobodne jakby kawalerskie życie, jakie wiódł obecnie, zbyt mu przypadało do gustu, aby miał pragnąć zmiany. Próbował nawet opierać się żonie, lecz Helena odpowiedziała mu stanowczo:

— Piotruś może się wieczorem doskonale obejść już bezemnie; przecież całe życie nie mogę siedziéć między czterema ścianami mojego mieszkania. Chciałabym się trochę zabawić i rozerwać, inaczej zmarudniałabym zupełnie.

I stosownie do raz powziętego zamiaru, Helena zaczęła bywać na balach, wieczorach i w teatrze. Następnie przyjmowała u siebie, jednem słowem rzuciła się w wir zabaw światowych a piękność i dowcip jednały jej hołdy żywsze niż w pierwszych dniach po zamążpójściu. Znać było, że stara się o to żeby się podobać i usiłowania jej pożądany osiągały skutek.

Piękność jej odznaczająca się zawsze pewną powagą i surowością, złagodniała teraz i nabrała powabnego wdzięku, który ją stokroć jeszcze milszą czynił. Otoczona rojem wielbicieli, Helena z przedziwnym taktem przyjmowała pochlebstwa i dymy pochwalnych kadzideł, jakie palono na jej cześć.

Thauziat ze zwykłą sobie spokojną dumą trzymał się zdala od wielbicieli i pochlebców, lecz sza-

cunek z jakim witał lub przemawiał do Heleny, potęgował jeszcze bardziej urok i przewagę jej w salonach. Klemens najlżejszem słówkiem, nawet wyrazem twarzy nie zdradził nigdy swych uczuć a postępowanie jego w niczem nie ubliżało młodej kobiecie. Cześć jednak z jaką nie tail się przed ludźmi, kazała się domyślać wielkiej, bezmiernej miłości nie podsycanej żadnym promykiem nadziei. Klemens bowiem zbyt był szlachetny, aby czegokolwiek miał się spodziewać w przyszłości i przekonanie swoje potrafił przelać w drugich. Tym sposobem najlżejszy cień podejrzenia nie zaćmił honor młodej kobiety.

Helena również nie wyjawiała przed światem niepokoju i trwogi dręczącej ją boleśnie; spokojna na pozór, z uśmiechem na ustach przesuwała się wśród tłumów, odpowiadając uprzejmie na pochlebne słówka, jakiemi ją obsypywano, lecz uwaga jej w jednym tylko zwracała się kierunku. Zajęta rozmową, ożywiona i wesoła, widziała jednak dobrze każdy ruch męża i starała się odgadnąć z wyrazu twarzy miotające jego sercem uczucia; Emilia niby nie domyślając się niczego, śledziła pilnie postępowanie przyjaciółki, której zręczność i przebiegłość zadziwiła ją do najwyższego stopnia. Dziwnym zbiegiem okoliczności, Helena nigdzie dotąd nie spotkała się z Dianną, możnaby mniemać, że jakiś serdeczny przyjaciel uwiadomił piękną Angielkę o zamiarach pani Hérault i jak bożek opiekuńczy czuwał nad tem, aby nie spotkała się z Heleną. Ludwik, zawsze jednako łagodny i uprzedzający dla żony, bywał z nią wszędzie i we wszystkiem stosował się do jej życzeń, jednem słowem zasługiwał w całem znaczeniu na tytuł wzorowego małżonka.

Pomimo wytrwałości, Helena znużyła się w końcu ciągłem badaniem i zaczęła przypuszczać, że domysły jej były błędnemi, chociaż nieprzewidziany wypadek odkrył jej prawdę, której tak namiętnie odkryć pragnęła.

IX.

Lereboulley, choć sam nie lubił muzyki, jednak dla przypodobania się córce urządzał corocznie we wspaniałych swoich salonach dwa lub trzy koncerta. Emilia utalentowana wszechstronnie i wtajemniczona w piękności zaczarowanej krainy sztuki, uwielbiała Wagnera i przyczyniała się nawet wiele do rozpowszechnienia w świecie paryzkim cudownych utworów mistrza. Znając upodobanie swych ziomków do lekkich i śpiewnych kompozycyi, wybierała najprzystępniejsze kawałki, aby zapoznać swych przyjaciół z tą piękną, lecz dla niejednego może za poważną muzyką. Dopełniwszy tego, jak mawiała duchowego obowiązku, opiekowała się młodemi, rozpoczynającemi zawód kompozytorski artystami, których utwory pomimo prawdziwej wartości nie zdołały jednak wyrobić sobie dobrego w teatrze przyjęcia. Wyborowa orkiestra wykonywała te niewydane jeszcze dzieła, najznakomitsi śpiewacy występowali w solowych numerach i te wieczory niepodlegające zjadliwej krytyce, ściągały tłumy wyborowego towarzystwa do salonów Lareboulleya.

Pierwszy tegoroczny koncert miał być poświęcony wykonaniu ustępów z „Manfreda" nowej opery Lucyana Wordlera, którego zachwycającą Kołysankę pani Olifaunt śpiewała z wielkiem powodzeniem przez całą zimę w salonach paryzkich. Wiedząc, że Dianna żywo zajmowała się losem młodego kompozytora, pani Hérault mogła być pewną, że ją spotka na zapowiedzianym koncercie. Lecz i teraz o mało nie spotkała ją przegrana, widocznie los uwziął się sprzyjać kochankom.

Mały Piotruś zazwyczaj zdrów i wesoły, zbudził się rano słaby i smutny, serce matki zabiło gwałtowną trwogą. Posłała natychmiast po doktora, który upewnił, że dziecinie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, była to poprostu gorączka, spowodowana wyrzynaniem ząbków, które ostre jak szpileczki przecinały już różowe dziąsełka. Pomimo jednak zapewnień doktora, Helena kazała odwołać fryzyera i zaniechała zamiaru udania się na wieczór do Lereboulleya.

Najniespodziewaniej jednakże około godziny ósmej wieczorem, dziecię po dniu spędzonym spokojnie, zasnęło smacznie, bez śladu najmniejszej gorączki lub cierpienia i młoda matka widząc tak znaczne polepszenie, nagle zmieniła powzięte postanowienie i oznajmiając mężowi, że wybornie obejdzie się bez fryzyera, gdyż panna służąca równie dobrze uczesać ją może, rozkazała przygotować sobie suknię z zamiarem pojechania na koncert. Ludwik nieśmiało zaczął jej przedstawiać, że może zrobiłaby lepiej pozostając w domu, lecz Helena o ile z rana była wzburzoną i niespokojną, o tyle teraz okazała się wesołą i spragnioną zabawy i mąż musiał ustąpić tłumiąc westchnienie, które mimowoli wyrwało mu się z piersi.

Była może godzina jedenasta przed północą, skoro weszli do salonu Lereboulleya. Koncert już się rozpoczął; Talazac śpiewał właśnie jakiś śliczne nokturno z panną Isaac.

Emilia siedząc w małym saloniku, spostrzegła natychmiast państwa Hérault i pośpieszyła na ich powitanie.

— Mój mały ma się lepiej — rzekła Helena, widząc zdziwienie malujące się na twarzy Emilii — nie mogłam zatem odmówić sobie przyjemności przepędzenia z wami dzisiejszego wieczoru.

Emilia wzrokiem wskazała Ludwikowi panią Olifaunt, siedzącą w pierwszym rzędzie krzeseł. W tej samej chwili Helena także spostrzegła Angielkę i zbladła, widząc ją tak czarująco piękną. Dianna miała na sobie suknię tiulową koloru siarki, długi tren ozdabiał wieniec z żółtych róż, które nazywają złotym snem. Jasna barwa sukni podwyższała jeszcze bardziej białość szyi i ramion, które wychylały się z głęboko wykrojonego stanika. W płowych włosach połyskiwały brylanty a ręka z niechcenia poruszała kosztownym ze strusich piór i szyldkretu wachlarzem. Dianna jakby czując na sobie magnetyczny wpływ spojrzenia Heleny, odwróciła się nieco i wzrok jej spotkał się ze wzrokiem pani Hérault, wtedy uśmiechem i wdzięcznym ruchem wachlarza powitała Helenę, podczas gdy ta ostatnia poważnie skłoniła głowę i odetchnęła głęboko, widząc, że nareszcie spotka się oko w oko z kobietą, którą w tak okropny sposób posądzała. Teraz i na nią i na Ludwika baczną zwróci uwagę a może z dźwięku głosu lub wyrazu twarzy odgadnie starannie ukrywaną przez nich tajemnicę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Królowa Pianistów.

Muzykalna Europa nie może się uskarżać na brak znakomitych pianistów. Mamy świetnie grającego Rubinszteina, subtelnego o delikatnem uderzeniu Karola Halle, przechowującą wiernie tradycyę gry Liszta panią Menter-Popper i wielu innych znakomitych muzyków, lecz pierwsze miejsce w świecie genialnych mistrzów gry fostepianowej należy się pani Szumann. Po raz pierwszy w r. 1832 młodziutka Klara Wieck dała się słyszéć publicznie, a przez ten długi, przeszło półwiekowy okres czasu zawsze gra jej była dla słuchaczów prawdziwie artystyczną rozkoszą, muzyków zaś wprawiała w podziwienie.

Ci, którzy znają życie Szumanna, wiedzą o jego romantycznej miłości dla Klary Wieck, o długiem narzeczeństwie tych dwojga młodych ludzi i nareszcie o zaślubieniu ukochanej kobiety w roku 1840. Schumanna w jego młodości, jak i wielu innych kompozytorów, przeznaczali rodzice do zupełnie innej karyery i dzięki tylko namowom Wiecka, sławnego w tym czasie profesora gry na fortepianie, pozwolili mu porzucić prawo i oddać się ukochanej muzyce. Wtedy to postanowiwszy zostać pianistą zbliżył się do rodziny Wiecka. Z dwóch córek profesora Klara więcej przypadła mu do serca, dlatego pewnie że zachwycała go prześliczną, a tak naturalnie wykonywaną grą na fertepianie. Młoda artystka wystąpiła po raz pierwszy na koncertowej estradzie w muzykalnem mieście Lipsku. Niełatwo było pozyskać oklaski krytycznych słuchaczy lipskiej publiczności. Doznała jednak panna Wieck tak entuzyastycznego przyjęcia, iż przeszło ono wszelkie jej oczekiwania i tem żywsze uczucie obudziło w sercu ambitnego Schumanna. Około roku 1840 zaczął pisać pierwsze swe genialne kompozycye, wyrzekając się muzyki jako wykonawca, z powodu osłabienia trzeciego palca zbyt męczącemi ćwiczeniami mechanicznemi. Sztuka zyskała na tem, i dzieła wielkiego kompozytora nietylko że są zachwytem współczesnych ale i potomność cenić je będzie jako utwory geniuszu. Po niespełna czternastoletniem szczęśliwem pożyciu małżeńskiem, ciężki smutek dotknął biedną Klarę Schumann. Mąż jej zaczął chorować umysłowo i zmuszoną była oddać go do zakładu obłąkanych w Bonn. Kuracya takich nieszczęśliwych bardzo drogo kosztuje, w celu więc zebrania funduszów udała się pani Schumann do Anglii i tam wystąpiła z koncertem w Towarzystwie Filharmonicznem w r. 1856. Grała świetnie piękny koncert Bethovena i waryacye Mendelsohna, doznała bardzo serdecznego przyjęcia lecz coprędzej musiała wracać do Niemiec, odebrawszy wiadomość o groźnym stanie małżonka, który wkrótce skonał na jej ręku. Schumann zgasł w 46 roku życia — ileż to jeszcze świetnych utworów skomponowałby ten mistrz tonów! Niestety śmierć go zabrała w pełni mezkiego wieku, zostawiając żal nieunikniony w sercu kochającej żony i licznych wielbicieli. Klara Schumann rozumie genialne utwory swego męża, to też gdy je wykonywa fortepian staje się najszlachetniejszym z instrumentów pod jej czarodziejskiemi palcami. Gra to prawdziwie mistrzowska; lecz grywa nietylko utwory swego męża. Każdego

z wielkich kompozytorów wystudyowała po kolei; i najpierwsza rozpowszechniła swojemi koncertami utwory Szopena i Mendelsohna, a nawet swego męża, ale zaledwie w kilka lat po śmierci jego, była w stanie grać tegoż utwory; z początku nadto ją to wzruszało. Słysząc ją grającą trudne kompozycye Szumanna, nie wie słuchacz co więcej podziwiać, czy inteligentne, niezrównanie wzniosłe traktowanie przez nią gry w ogóle, czy też niesłychaną biegłość w wykonywaniu, dla której nie ma żadnej trudności w najwięcej nawet skomplikowanych utworach mistrza. Krytycy europejscy w ogóle uważają panią Schumann za mistrzynią klasycznej szkoły, gdyż ona jedynie tak wzniośle traktuje muzykę i tak skończenie wykonywa klasyczne utwory wielkich kompozytorów.

Od roku 1865 pani Schumann corocznie aż do r. 1877 jeździła do Anglii i tam dawała kilka koncertów, które ogromnem się cieszyły powodzeniem. Lecz w przeciągu ostatnich lat dziesięciu parę razy zaledwie puściła się za morze, a od pewnego czasu wiek podeszły nie pozwala jej na dalsze podróże. Cieszy się jednak tak dobrem zdrowiem, że może pełnić obowiązki pierwszego profesora w Konserwatoryum muzycznem w Frankfurcie. Jedna z jej uczenic, panna Fanny Davies, znaną już jest jako artystka w świecie muzykalnym, z czasem więcej młodych talentów będzie zawdzięczało pani Schumann wykształcenie swe artystyczne, gdyż o ile sama jest porywającą pianistką o tyle jest wyborną mistrzynią. Szkoda tylko, że teraz tak rzadko słyszeć się daje publicznie.

M. St.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Zima szybko zbliża się, aby światu zapanować. Nietylko w Styryi, Szwajcaryi i Tyrolu oraz w Alpach spadły śniegi obfite, ale i w Baden-Baden, Czarnym lesie, górach Olbrzymich, w różnych stronach Niemiec, w całym Harzu wszystko jest pokryte białym całunem. W Monachium przed dwoma tygodniami śnieg padał przez cały dzień, przy jednym tylko stopniu mrozu, a w Wirtembergskiem drzewa choć w zieleni z owocami niedojrzałemi jeszcze, osnute śniegiem, przykry bardzo sprawiają widok.

Meteorologowie przepowiadają mroźną i długą zimę, oby zostali fałszywemi prorokami.

Grono byłych uczniów, złożonego ciężką niemocą Feliksa Berdaua, b. profesora instytutu agronomicznego w Nowej Aleksandryi, pragnąc w ten sposób uczcić cenionego i zasłużonego swego przewodnika, oraz podziękować mu za pracę, postanowiło wydać na jego korzyść, dzieło jego „Botanikę leśną”, zapraszając jednocześnie szersze koło rolników do wzięcia udziału w pomienionem wydawnictwie.

W tym celu otwiera się przedpłata na dzieło wspomniane w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa, którzy ofiarowali się bezinteresownie pośredniczyć w przyjmowaniu tej przedpłaty, oznaczonej na rs. 2 za egzemplarz.

Lista prenumeracyjna zamkniętą zostanie z początkiem roku przyszłego.

Komitet wydawniczy składają: Aleksander Siedlewski, Tadeusz Chwalibóg, Tadeusz Walicki i Teodor Maryan Staniszewski.

Podpisani nie wątpią, iż b. uczniowie profesora Berdaua nie odmówią swego poparcia, pośpieszając z jaknajliczniejszem zapisywaniem się do grona przedpłacicieli.

Rozpoczęta z wiosną budowa gmachu dwupiętrowego, na ulicy Starej, dla pomieszczenia w nim szwalni dla biednych dziewcząt, obecnie jest już na ukończeniu i cały gmach pokryty dachem.

Z wiosną kilkaset dziewcząt pozostających pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, znajdzie tu już wygodny przytułek i pracę.

Katolicy w Astrachaniu. Wedle danych urzędowych, w Astrachaniu znajduje się przeszło 1,000 katolików, z których 200 osób należy do narodowości ormiańskiej, 20 do perskiej, 4 osoby do tatarskiej, resztę stanowią Polacy. W roku 1761 ks. Romuald Pontaut, Karmelita, wzniósł swoim kosztem drewniany kościołek, który wkrótce zgorzał do szczętu.

Ponieważ zaś ks. Pontaut znał się trochę na medycynie i szczęśliwie wyleczył kilku mieszkańców Astrachania, nie biorąc za to żadnych honoraryów, zyskał przez to ogólny dla siebie szacunek, a wdzięczni mieszkańcy miasta, bez różnicy wyznań, dopomogli, przy gorliwym współudziale Olizarowskiego, Ribińskiego, Ordy i Sławińskiego, do zbudowania nowej, obszernej murowanej świątyni z plebanią, w której się mieści niewielka kaplica. Przy kościele znajduje się cenna biblioteka, złożona z dzieł treści poważnej. Biblioteka ta powstała za czasów missyi jezuickiej w Astrachaniu w początkach XIX wieku. Kościół sam nieźle jest uposażony: należy do niego spory obszar gruntów, dom w mieście i 15 jatek, z których dzierżawa wynosi około 6,000 rs. rocznie, oprócz tego posiada kapitału zapasowego w Banku Państwa 12,000 rs. W roku zeszłym dzięki staraniom syndyków i proboszcza, na gruntach kościelnych wzniesiono dom drewniany na szpital mieszczący 20 łóżek.

Znakomity oftalmolog, rodak nasz zamieszkały w Paryżu, d-r Ksawery Gałęzowski, opracował razem z doktorem Knopfem i wydał w języku francuzkim poważne dzieło p. t. „L'hygiéne de la vue” (Hygiena wzroku). Praca ta opatrzona 44 rysunkami, wywołuje pochwały specyalistów; odznaczać się ma ona przystępnością w traktowaniu przedmiotu.

P. Zofia Muszyńska polka, otworzyła we Florencyi skład kwiatów sztucznych, który cieszy się wielkiem powodzeniem. Jeden z dzienników włoskich „Il Capitan Fracassa” w oddzielnej wzmiance odzywa się gorąco o wystawie p. M.

Rzeźbiarki. W Warszawie znajduje się ośm kobiet, uprawiających sztukę rzeźbiarską.

Dwie z tej liczby umieszczają swoje prace na wystawach publicznych, pozostałe zaś kształcą się jeszcze w pracowniach artystów tutejszych.

Nowa moda. Listy kreślone drobnemi rączkami dam paryzkich, pisane są obecnie nie przy pomocy atramentu, tylko cieczy złotawej. Nowa ta moda zrobiła w Paryżu kompletną furorę, a wprowadzona została przez pewną artystkę przypadkowo. Adeptka sztuki Apellesa, mając posłać kilkanaście wyrazów do jakiejś hrabiny, przez omyłkę zamiast w kałamarzu, umoczyła pióro w farbie złotej. Hrabina myśląc, iż artystka zrobiła to dla oryginalności, zaczęła ją naśladować i w ten sposób wprowadzony został nowy kaprys mody.

Księgarnia polską ma powstać w Wiedniu. Filje mieć będzie w Pradze, Zagrzebiu i Białogrodzie.

Niezwykła kuracya. Zdrowie królowej szwedzkiej polepszyło się znacznie. Doktorowie leczą ją na chorobę nerwową, której podlega, następującym przepisem: Królowa wstaje o 7, ściele sobie sama łóżko, zamiata pokój, następnie pije szklankę mleka, potem idzie do ogrodu strząsać z drzewa gąsienice, zrywać kwiaty, podlewać je na grzędach i układać w bukiety do jadalni. Zajęcie to trwa do południa. O dwunastej drugie śniadanie, godzinny odpoczynek i nowe zajęcia około ogrodu, do szóstej. Potem natrysk, obiad; o 9-ej królowa idzie na spoczynek.

Metodę tę polecamy wszystkim niewiedzącym co z czasem zrobić a straszliwie się nudzącym.

Katastrofa w kościele. Depesza doniosła nam o straszliwym wypadku, jaki wydarzył się dnia 7 b. m. w Reading, w Pensylwanii. Znajduje się tam ludna kolonia polska, która od lat dwudziestu pracowała gorliwie nad zebraniem funduszów, celem wybudowania własnego kościoła, w którem by mogły odbywać się polskie kazania. Nareszcie w niedzielę miało nastąpić poświęcenie kościoła. Reading i okolica jego wysłały tysiące nabożnych na festyn kościelny; we wnętrzu kościoła, zwyczajem amerykańskim, wzniesiono wielką trybunę, do której miejsca sprzedawano za bajeczne sumy na, rzecz kościoła. Właśnie kapłan wśród uroczystej ciszy rozpoczął kazanie, gdy okrzyk rozpaczliwy wydarty nagle ze setek krtani, a wraz z nim przerażający łoskot przerwały ciszę. Tumany kurzu zaległy świątynię. Trybuna, przepełniona „śmietanką” zebranego towarzystwa, runęła. Chaos wszczął się bezprzykładny! Podczas, gdy z zewnątrz kościoła zaczęli się tłoczyć ludzie na ratunek, znajdujący się w nim, myśląc, że cały kościół ma runąć, konwulsyjnie wypychali się z wnętrza. Długa chwila minęła, zanim oprzytomniano i ogrom nieszczęścia ukazał się we właściwych rozmiarach. Uprzątnięto niezwłocznie rumowiska, z pod których wydobyto przeszło sto osób ciężko, po większej części niebezpiecznie poranionych. Wszyscy inni, którzy znajdowali się na trybunie, ponieśli także dotkliwe skaleczenia.

Tualety Sary Bernhardt. Znakomita tragiczka francuzka na ostatnią, jak zapewnia, wycieczkę artystyczną, mającą się wkrótce rozpocząć, przygotowała sobie cały szereg nowych tualet, które w zachwyt niechybnie wprawią piękniejszą połowę rodu ludzkiego. Figaro podaje dokładny a szczegółowy opis tych poematów, złożonych z tiunik, falban, staników, galonów i t. p., i zapewnia, że stanowić one będą nową erę w dziedzinie mody. Między innemi do „Adryanny Lecouvreur” kazała sobie pani Sara sporządzić kostyum Roxany, złożony z obszernej, fałdzistej, różowej, atłasowej koszuli, haftowanej w złote arabeski i zasianej prawdziwemi turkusami. Na tę koszulę przywdzieje artystka płaszcz z ciężkiej wschodniej materyi jedwabnej, oszyty różnobarwną frendzlą szenelową i srebrnemi chwastami a bramowany kosztownem futrem; oryginalnego kostyumu dopełnia turban ze złotogłowia, pereł, brylantów i piór strusich. Jako „Fredra” ukaże się artystka w starożytnej szacie z kremowego muślinu indyjskiego, haftowanego w śliczne złote liście wawrzynowe. Wreszcie arcydziełem sztuki krawieckiej ma być także tualeta balowa do „Damy kameliowej”.

☙ **O tenorach.** Słynny impresaryo Maplesson tak opowiada o rozmaitych wielkich tenorach: Maryo był dla niego najpierwszym i najznakomitszym, Giuglini śmiesznie próżnym, Morgini zarozumiałym, Mazini (znany i u nas dostatecznie) odznaczał się pychą lucypera albo waryata, Ravelli zarozumiały był do idyotyzmu w przeciwieństwie do Fanchelliego, który gotów był uczyć się nanowo śpiewać. Monguci, gdy mu raz w teatrze londyńskim zrobiono kostyum za szeroki, wpadł w nieopisaną wściekłość, podarł cały na sobie i że szpadą w ręku groził każdemu, kto się waży przestąpić próg jego garderoby. Ułagodził go dopiero tem Maplesson, że mu przyrzekł, iż krawca wyrzuci na ulicę, „gdzie z głodu umrze!" razem z żoną i z ośmiorgiem dzieci (których nb. krawiec wcale nie miał). Nazajutrz ułagodzony tenor prosił go, ażeby dzieci nie zagładzał, bo „może mu to u publiczności zaszkodzić". Inny znów tenor nie chciał dlatego śpiewać, że w pojedynku, na scenie z barytonem, tamten a nie on zwycięża. Tamagno jeździ z orszakiem nadwornym z dziewięciu osób, Mazini więc, ażeby olśnić tego znienawidzonego rywala, powrócił z Ameryki z orszakiem, złożonym z dziesięciu osób. I tak: miał dwóch sekretarzy, kucharza, kamerdynera, fryzyera, lekarza, adwokata, dziennikarza, ajenta i kasyera. W Chicaga znowu widział Maplesson Nicoliniego, mierzącego na ulicy na afiszu litery nazwiska Patti, celem przekonania się, czy są kontraktowo większe, aniżeli litery nazwisk innych artystów. O próżności! wasze imię jest: artysta.

☙ **Zdobycze kolonizacyjne** ciągle jeszcze nie dają spokoju młodocianym synom państwa niemieckiego. W tych dniach znów pięciu chłopców, synów poważnych rodzin berlińskich, obrawszy rodziców z pieniędzy, udało się do Afryki. Jeden z podróżników objaśnił listem ojca, iż poszli do Szczecina piechotą, gdzie zamierzali wsiąść na okręt. Wszelkie usiłowania rodziców, aby odnaleźć dzieci, okazały się daremnemi, aż wreszcie powrócili sami po tygodniu, niemogąc znieść chłodu nocnego. Spędzili oni cały czas w lasach między Ealkenberg i Eberswalde, chcąc się przyzwyczaić do życia, jakie zamierzali pędzić w Afryce i zachodzili do sąsiednich wiosek jedynie dla zakupu żywności.

Rodzice i opiekunowie szkółki wiejskiej, z powodu urodzin nauczyciela, składając mu życzenie wszelkich pomyślności wołają:

— Niech żyje nasz pan nauczyciel! Niech żyje!

— I owszem, Bóg zapłać, ale z czego? — mruczy solenizant.

* * *

— Co się z tobą dzieje, gdzie się ukrywasz, mój bracie? Już cię przeszło rok jak nie widziałem.

— A to rzecz szczególna, bo i ja cię także tak dawno nie widziałem.

* * *

Szczególny pojedynek odbył się w Kansas City. Daniel Cartwright, właściciel Blackhotelu, poróżnił się przy kartach z handlarzem koni, Jamesem Donahye. Jeden z obecnych poradził im, ażeby się pojedynkowali, uderzając głowami, jak byki. Spodobała się obydwom rada. Wyszli na ulicę, stanęli o 30 kroków od siebie i na dany znak uderzyli się głowami. Odgłos uderzenia był tak silny, że go posłyszał policyant, przyskoczywszy więc, zaaresztował obydwóch z pokrwawionemi głowami. Czy się im przez to do reszty we łbach nie przewróciło, niewiadomo.

* * *

— Żeby pani wiedziała, jakie mam szczęście do kobiet to nie do uwierzenia, chwali się X. gładząc wąsiki zapamiętale.

— Ja też temu wcale nie wierzę — odpowiada panna Zet — a dziwi taka zgodność zdań naszych.

— Rzeczywiście, że to niezwykłe.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem S. Lewentala świeżo opuściły prasę następujące dzieła:

O kobiecie przez Elizę Orzeszkową. Tom jeden obejmuje: O kobiecie Polskiej. O kobiecie Indyjskiej i Listy o kobietach.

Kilka słów o kobietach przez Elizę Orzeszkową. Tom jeden.

Komedye Michała Bałuckiego: Dom otwarty. Na łonie natury. Komedye z oświatą.

Poczciwy Marcin i Felek Niecnota czyli Czem skorupka z młodości nasiąknie, tem na starość trąci, ze zdarzeń prawdziwych napisała Antoszka. Nakład E. Kolińskiego. Cena 10 kop.

Sprawa o wóz, czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu, opowiedziana przez Wiktora Olszewskiego. Cena 10 kop.

Snopek. Książka do czytania dla dzieci wiejskich, zebrana i ułożona przez R. M., ozdobiona wieloma rycinami, zagadkami i wierszykami, prócz tego obejmuje bardzo przystępnie skreślone opisy zwierząt i różnych przedmiotów najbliżej nas obchodzących. Cena 30 kop.

Różaniec z obrazkami ku większej chwale Boga, na cześć Najświętszej Maryi Panny oraz ku pożytkowi wiernych przez ks. Fr. Masłowicza. Cena 25 kop.

Polacy w Hiszpanii (1808—1812) przez Zygmunta Lucyana Sulimę. Nakład Gebethnera i Wolffa.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 41 wyszedł z druku i zawiera:

Różne odmiany psów domowych (z drzeworytem). Helgolandczyk (drzeworyt). — Powrót wiosny (wiersz). — Łucznik książęcy. — Wulkan Hekla (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Męczennicy. Dodatek: Wyprawa morska. — Gubienie igiełek (wiersz). — Myszki na dwóch nóżkach (z drzeworytem). — Chłopczyk i ptaszek (wiersz). Dwa pieski (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 5 Октября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.